

ALEKSANDER WRÓBEL

Szkoła Podstawowa nr 3 w Choszczynie

Nazywam się Olek Wróbel, mam dwanaście lat i chodzę do szóstej klasy. Mieszkam w domu nieopodal Choszczyna z moją rodziną – mamą, tatą i dwoma braćmi – starszym i młodszym. Obok naszego domu znajduje dom mojej babci i dziadka od strony mamy, dlatego widuję się z nimi prawie codziennie. Z kolei rodzice mojego taty już nie żyją, więc niewiele o nich wiem. Babcia zmarła, gdy miałem 5 miesięcy, a dziadka nie udało mi się wcale poznać.

Na co dzień jestem zwykłym chłopakiem, uczę się, ćwiczę grę na akordeonie i fortepianie, a w wolnej chwili zaszywam się w swoim pokoju i gram na PC. Raczej należę do osób sumiennych i systematycznych, lubię się uczyć, ale jeśli mam możliwość leniuchowania, to chętnie z niej korzystam. Tak bywa właśnie w weekendy – nie trzeba nigdzie pędzić, a rano nie budzi mnie dźwięk budzika...

Niestety, ostatni weekend był inny. Rano przyszedł do mnie tato z prośbą: potrzebował pomocy w posprzątaniu strychu. Szczerze mówiąc, nie uśmiechało mi się grzebanie w starych klamotach w sobotni poranek, ale wiedziałem, że ojciec za nic by nie odpuścił. Szykował się do tego od dłuższego czasu niczym do bojowej misji, od powodzenia której zależałoby nadchodzące jutro.

Z początku trochę byłem przygnębiony, ale kiedy wzięliśmy się do pracy, humor szybko mi się poprawił. Zapomniałem o ciepłym łóżku, które na mnie czekało w moim pokoju i przeglądając kolejne szpargały, prowadziłem żywą dyskusję z tatą. Pomimo wczesnej pory przypomniało mi się, jak bardzo lubię spędzać z nim czas.

Dzień był pracowity, pod koniec została nam tylko jedna skrzynia do uporządkowania. Powoli zacząłem wyciągać z niej rzeczy – mnóstwo nieznanych mi dotychczas przedmiotów. Jakieś ubrania, modlitewniki, zdjęcia i jakieś czerwone pudełko. Gdy je otworzyłem, zobaczyłem odznaczenie w kształcie krzyża i jego miniaturę. Zaciekawilo mnie to, więc spytałem tatę, co to jest. Tato odpowiedział, że to Krzyż Zesłańców Sybiru należący do mojej babci Karoliny – bo tak miała na imię mama mojego taty. Wytłumaczył mi też, co to jest „Krzyż Sybiracki”. Otóż dostawała go osoba, która przeżyła wywóz na Sybir w czasie II wojny

światowej, a po zakończeniu wojny udało jej się powrócić do Polski. Krzyż Zesłańców Sybiru to krzyż równoramienny wielkości 4x4 cm, wykonany z metalu i posrebrzany. W jego środku mieści się symbol orła białego w złotej koronie na czerwonym tle. Wokół znajdują się zerwane łańcuchy, w rogach widnieją dwa połączane miecze, a z tyłu można przeczytać napis: „ZESŁAŃCOM SYBIRU”. Opisywany tu przeze mnie order zawieszony jest na zielonej, czterocentymetrowej wstążce, z biało-czerwonym pionowym paskiem.



Tato uważał, że to bardzo ważna pamiątka. Zdziwiłem się trochę, bo przecież cóż w tym takiego wielkiego, że aż dostaje się za to odznaczenie nadane przez samego Prezydenta RP?! Miałem mnóstwo pytań, więc nasz dzień na strychu znacznie się wydłużył... Okazało się, że tato zafundował mi najlepszą lekcję historii, jaką do tej pory miałem...

\* \* \*

Dnia 10 lutego 1940 roku rozpoczął się najtrudniejszy czas w dziejach mojej rodziny – był to dzień zesłania na Sybir mieszkańców osady Wola Piłsudskiego w powiecie dubieńskim w województwie wołyńskim. Tam właśnie mieszkała wówczas rodzina mojej babci. O północy pod dom mojej babci podjechało saniami dwóch miejscowych Ukraińców eskortowanych przez dwóch uzbrojonych enkawudzystów. NKWD to rosyjski wydział wewnętrzny, działający do końca II wojny światowej, aparat wewnętrzny władzy, w czasie wojny, który zajmował się szpiegowaniem, mordowaniem, nadzorowaniem więziennictwa oraz pracy obozów koncentracyjnych i gułagów. W niecałe pół

godziny babcia, Karolina Wróbel, wraz ze swoimi braćmi – Edwardem i Henrykiem i rodzicami – moją prababcią Gertrudą i pradziadkiem Władysławem byli już spakowani. Mogli zabrać ze sobą żywność – do 50 kg.

Najpierw zawieziono ich do szkoły w Podzamczu, po czym kolumną sań eskortowaną przez enkawudzistów na koniach przyjechali na stację. Czekał tam na nich pociąg, ale nie taki jak nasz – Intercity i to najlepiej pierwszej klasy – na peronie czekał na nich skład z kilkunastoma bydłęcymi wagonami z zakratowanymi oknami... Mój stryjeczny dziadek Edek i babcia Karolina opowiadali potem, że do jednego wagonu wpychano po sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt osób! Razem z moimi bliskimi jechali również mieszkańcy Osady Radziwiłłowskiej. W wagonie znajdowały się prycze, okrągły piecyk oraz dziura w podłodze, służąca za ubikację. Gdy w końcu więźniowie wyruszyli na wschód, z pociągu wydobywał się dźwięk płaczu i strachu przeplatany z religijnymi i patriotycznymi pieśniami. Warunki w wagonach były bardzo ciężkie, nocą bowiem temperatura spadała nawet do 30°C poniżej zera. Raz na dzień dwóch ludzi z wagonu chodziło po wodę i chleb, oczywiście pod eskortą enkawudzistów.

Pierwszą stacją, na której się zatrzymali, była graniczna Szeptówka, a dopiero po ośmiu dniach dotarli do wielkiego miasta o nazwie Kirów. Pociąg ruszył stąd na północ w kierunku Archangielska. Po kolejnych trzech dniach dotarli do Kotłasu. Zimno stawało się coraz bardziej nie do zniesienia. Po króciutkim postoju ich transport ruszył z powrotem w kierunku Workuty.

Po dotarciu do stacji Krystaforowo moja rodzina musiała wysiąść i iść pieszo do oddalonego o około 6 km obozu Szuszagowo. Dzieci i chorzy jechali na saniach, reszta zaś osób z transportu drogę pokonała pieszo, idąc w śnieżnym tunelu, którego ściany osiągały 1,5 m wysokości.

W końcu dotarli do obozu. Szybko okazało się, że rządził się on swoimi prawami... Komendant przedstawił im regulamin, dodając jednocześnie, że teraz to właśnie tam jest ich Polska i tam będą żyć i pracować. Rodzina mojej babci, wraz z kilkoma innymi rodzinami, zamieszkała w baraku zbudowanym z pni sosnowych z dodatkiem mchu. W budynku pełnym pluskwów znajdowało się tylko jedno duże pomieszczenie z glinianym piecykiem, na ścianach wisiały dwupiętrowe ponumerowane prycze – jedna prycza przeznaczona była dla jednej rodziny. Pośrodku obozu stał dom komendantury, a dookoła niego – baraki. Pomimo że obóz nie został ogrodzony, każdy wiedział, dokąd sięgał.

Ludzie zesłani tam pracowali bardzo ciężko przy wycince drzew. Do wyřębu chodzili wszyscy oprócz dzieci poniżej 12 roku życia. Wszystkim brakowało jedzenia. Osoby pracujące dostawały 400 g chleba, a niepracujący połowę tego, i zupę. Wkrótce z przepracowania, głodu i zimna Polacy zaczęli umierać. Pewnego dnia moja prababcia oddaliła się od obozu i sprzedała swoje futro z kotów syberyjskich za ledwie za 16 kg mąki żytniej. Za samowolne oddalenie się dostała karę sześciu dni aresztu.

We wrześniu 1941 roku więźniowie dowiedzieli się o tym, że gen. Władysław Sikorski zawarł układ z ZSRR, otrzymali też zaświadczenia, dzięki którym mogli poruszać się swobodnie po ZSRR. Postanowili więc udać się do Buzułuku, gdzie tworzyła się armia gen. Władysława Andersa. Niestety okazało się, że nie dojechali tam, dokąd planowali. Po kilkudniowej podróży dotarli do miasta Kryżyłtepe, gdzie zostali oddelegowani do pracy w kołchozie „Komuna”. Panowały tu dość dobre warunki, a rodzina babci pracowała przy zbieraniu bawełny i owoców. Było też dużo cieplej i panował mniejszy głód. Jedzenia dostawało się tu nieco więcej, w tym nawet mleko, którego dzieci dotychczas nie dostawały.

Po trzech miesiącach zostali niestety znów przesiedleni, tym razem do kołchozu „Kołas” na pograniczu Kazachstanu i Kirgistanu. Niechętnie ich tam przyjmowano, dlatego spali w sieniach domków, na słomie – podłóg tam w ogóle nie było. Pracowali głównie w polu, dostawali też prace cięższe i mniej płatne. Na szczęście właśnie tam otrzymali pierwszą pomoc z Anglii, m.in. mąkę, cukier i buty. Tę angielską mąkę szybko wymieniali na mąkę miejscową, która była mniej warta, więc dostawali jej więcej. Dodam też, że w kołchozie praca obowiązywała każdego. Dorośli i starsze dzieci pracowały, a młodsze dzieci, jak brat mojej babci, Henryk, który miał osiem lat, wystawały w kolejkach po przydział pożywienia.

W 1942 r. większość zesłańców zachorowała na tyfus, w tym moja babcia, jej rodzeństwo i ojciec. Tylko prababcia była zdrowa. Moja rodzina źle wspominała ten obóz. Pomimo trochę lepszych warunków niż w obozie Szuszagowo, to właśnie tam, u podnóża gór Tien-Szan, dnia 18 lutego 1942 roku umarł mój pradziadek Władysław. Z kolei moja babcia, Karolina, w wyniku tyfusu całkowicie straciła czucie w nogach. Nie mogła chodzić przez 2 lata.

Dziadka stryjecznego, Edwarda, brata mojej babci, tak jak i innych Polaków, próbowano zmusić do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego,

dzięki czemu Rosjanie mogliby powołać go do Armii Czerwonej, do kopania okopów. Wtedy moja prababcia podjęła decyzję o ucieczce z Kazachstanu do Kirgistanu, by ratować swojego syna, czyli brata mojej babci. Pracowali tam w gospodarstwie rolnym – sowchozie przynależącym do kopalni Aktjuz.

W styczniu 1944 roku moja rodzina usłyszała o tworzeniu się armii gen. Zygmunta Berlinga. Mój stryjeczny dziadek zgłosił się do Wojenkomatu Tokmak, czyli do punktu poboru ochotników do wojska, prosząc o przydział do Wojska Polskiego. Na początku sierpnia 1944 r. został wcielony do armii, dlatego wraz z innymi ochotnikami jechał przez 20 dni przez Taszkient, Kujbyszew i Moskwę do Lublina, dokąd przybył w połowie września. Po odbyciu podstawowego szkolenia dnia 10 stycznia 1945 roku mój stryjeczny dziadek, Edward Wróbel, został skierowany na front. Wojna zakończyła się dla niego 9 maja 1945 roku w Złocieńcu. Od tego czasu przez rok robił wszystko, aby pomóc swojej rodzinie wrócić do Polski.

Moja babcia Karolina wraz ze swoim bratem Henrykiem i mamą Gertrudą wróciła do Polski dopiero w czerwcu 1946 roku. Moi bliscy wrócili, nie mając nic, ani do czego. Rozpoczęli życie na nowo, zdobywając pracę, mieszkania, dzieci zaś nadrabiały zaległości w nauczaniu.

\* \* \*

W ten sobotni rano początkowo czułem wielką złość na tatę, że wymyślił sobie sprzątanie, w którym musiałem uczestniczyć. Później jednak siedziałem na strychu z Krzyżem Zesłańców Sybiru w dłoniach, chłonąc historię mojej rodziny. Na początku zastanawiałem się, co w tym takiego wielkiego, że aż dostaje się za to odznaczenie nadane przez samego Prezydenta RP?! Teraz już wiem – moja babcia to cicha bohaterka, zwyciężczyni II wojny światowej, podobnie jak wszyscy inni Zesłańcy. Jak powiedział ks. Bakers: „Sybir był prawdziwym krzyżem cierpienia dla rodzin i ludzi wywiezionych”.

Teraz, gdy trzymam ten Krzyż, myślę o wielkiej dumie, jaka rozpiera mnie, kiedy wiem, z jakiej rodziny pochodzę. Odczuwam jednocześnie przeogromny smutek na myśl, ile zła i cierpienia ludzie są w stanie zadać innym ludziom. Adam Mickiewicz pisał: „A jeśli bym o nich zapomniał, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie...”. Ja wiem, że nigdy nie zapomnę!